

Kultura

Muzyka

Wrocławskie legendy bigbitu odkryte

Marta Wróbel

Nie wszyscy wiedzą, że to właśnie we Wrocławiu w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych działały, wyprzedzające swoją muzyczną epokę, legendy rodzimej sceny bigbitowej. Obie grupy zajmują ważne miejsce w historii polskiej muzyki rozrywkowej. W serii „Z Archiwum Polskiego Radia” ukazały się nagrania zespołów Romuald i Roman oraz Pakt. W ramach tego samego cyklu w przygotowaniu jest reedycja piosenek innej popularnej wówczas wrocławskiej formacji – Nurtu.

Koniec lat sześćdziesiątych. Dolnośląskimi ulicami mknie kolorowy, pomalowany połyskującą farbą bus. Podróżując nim wokaliści i gitarzyści Romuald Piasecki i Roman Runowicz, basista Jacek Baran i perkusista Andrzej Tylec, czyli pierwszy skład zespołu Romuald i Roman. Prócz muzyków, w niewielkim autobusie cisną się twórcy happeningów Stanisław Lose, kilku aktorów wypożyczonych z Teatru Laboratorium Jerzego Grotowskiego i paru tancerzy z Wrocławskiego Teatru Panto-

mimy Henryka Tomaszewskiego. Rozśpiewaną gromadę próbuje dogonić kilkanaście dziewczyn na rowerach. Jedna przez drugą krzycząc coś po angielsku. Potem okazało się, że to grupa Amerykanek polskiego pochodzenia, które uciekły z letniego obozu, aby podążać za zespołem.

Wierne fanki urwały się z letniego obozu i goniły zespół na rowerach.

Taki obrazek wcale nie był rzadkością. Być może trudno wto uwierzyć, ale zespół, który miał tysiące oddanych fanów i zapętniał kluby studenckie w całej Polsce, nie doczekał się nigdy własnej długogrającej płyty. Powodów było kilka:

– Po pierwsze, nie mieszkaliśmy w Warszawie, po drugie działaliśmy przy Politechnice Wrocławskiej, która nie miała możliwości promocji naszej muzyki, po trzecie graliśmy

bigbitową awangardę, a nie komercyjny pop w stylu Skaldów – wspomina Jacek Baran. Mimo to, największy przebój grupy – „Bobas” – święcił trimfy na Liście Przebojów Programu Trzeciego Polskiego Radia, a sam zespół został nagrodzony Złotą Ważką dla najciekawszego bandu 1969 roku. Dziś uznawani są za pionierów rockowej psychodelii w naszym kraju.

Do historii przeszły wyjątkowe, jak na tamte, czasy koncerty Romualda i Romana, pełne świateł, ruchu i efektów specjalnych. Skład zespołu zmieniał się wielokrotnie – występowały z nimi takie tuzy gitary, jak choćby Jan Borysewicz czy Jacek Krzaklewski. Ten ostatni grał także w składzie innej, trochę już dziś zapomnianej, grupy Pakt. Prócz Krzaklewskiego zespół tworzyli wokalistka Ewa Wójcik, gitarzyści Zbigniew Wrzós i Tadeusz Prokop oraz basista Edward Basaraba. Ci wrocławianie mieli więcej szczęścia do mediów i festiwali niż Romuald i Roman.

– Pakt grał dość przystępnie i bardzo melodyjnie. Dzięki

temu wystąpili w opolskich premierach, a ich piosenki „Ballada o wiatrakach” czy „Żal do motyli” stały się ogólnopolskimi przebojami – mówi ówczesny animator wrocławskiej sceny muzycznej, a jednocześnie menedżer Paktu Marek Łaciak.

Zespół wydał w czasie swojej działalności dwie płyty. Obie grupy nagrały sporo utworów w studiach Polskiego Radia Wrocław i właśnie dzięki tym archiwalnym nagraniom mamy okazję posłuchać jak brzmiały kiedyś polskie dzieci kwiaty, które zainspirowała amerykańska psychodelia.

Zarówno Romuald i Roman, jak i Pakt zakończyły swój żywot po kilku latach. Pozostawiły po sobie ciekawe dźwięki i znakomitych muzyków jak Jacek Krzaklewski i Jacek Baran, którzy wciąż są aktywni na muzycznej scenie.

– Znajomy z USA powiedział mi kiedyś, że gdybyśmy nie urodzili się w PRL-u, z taką muzyką mielibyśmy szansę na międzynarodową karierę – twierdzi Jacek Baran z Romualda i Romana. Trudno się z tym znajomym nie zgodzić.



Z Archiwum Polskiego Radia vol. 5 – Romuald i Roman. Niepublikowane nagrania radiowe z lat 1968-1976 (2CD). Cena 36 zł

Z Archiwum Polskiego Radia vol. 6 – Pakt. Nagrania radiowe z lat 1969-2000 (2CD). Cena 36 zł

Teatr

„Momo” na szóstkę

Krzysztof Kucharski

„Momo czyli osobiwa historia o złodziejach czasu i dziecku, które zwróciło ludziom skradziony im czas” – tak brzmi pełny tytuł książeczki napisanej 35 pięć lat temu przez niemieckiego pisarza Michaela Ende. Rzecz jest bardzo poważna i mocno nas wszystkich dotyka. Zwłaszcza dorosłych, bo żli Szarzy Panowie w tej bajce okradają nas z czasu i mamy go coraz mniej dla siebie nawzajem. Dziewczynka o imieniu Momo dzięki swojej wyobraźni przy-

wraca wszystkim zdrowy rozsądek. Rozglądając się wokół widać jasno, że niewielu dorosłych czytało „Momo”, a szkoda. Jest szansa obejrzeć ją w Teatrze PWST.

Z wrocławskimi dyplomantami wydziału lalkarskiego w zrywym planie i jedną lalką zrealizowała je Beata Pejcz. Przerysowane, nieco nawet groteskowe kostiumy i rekwizyty, prościutki, ale dynamiczna, efektowna scenografia bardzo pomaga przyszłym lalkarzom w budowaniu poszczególnych postaci.

Z dużym wdziękiem i talentem zagrała tytułową rolę Anna Narloh. Ona też animowała oryginalną lalkę przedstawiającą Momo. Sympatię publiczności zdobywa także Grzegorz Mazoń jako dozorca niezguła. Społeczność miasteczka grają wypreparowane dla potrzeb teatru dwa duety mające sporo wspólnych i zrytmizowanych działań. Są to panie: Martyna Rozwadowska (Kucharka) i Aleksandra Ząb oraz panowie: Piotr Charczuk (Krawiec) i Dawid Miązek (Stolarz), którym udało się każdej postaci nadać charakter. Do zwycięstwa podłego świata Szarych Panów chcieli doprowadzić ze wszystkimi swoimi umiejętnościami aktorami: Michalina Brudnowska, Aleksandra Fronczak i Paweł Siwak. Nie wiem, jakie oceny dostali studenci IV roku wydziału lalkarskiego od swoich pedagogów, ja dałbym im szóstki i chciałbym przypomnieć, że jest to po latach posuchy kolejny bardzo udany dyplom na tym wydziale wrocławskiej szkoły teatralnej.

Teatr PWST, ul. Braniborska 59, od dziś do piątku, a potem aż do 15 lutego „Momo” można oglądać o godz. 10. Rezerwacje biletów – tel. 071-373-58-94.



„Momo” to kolejna udana premiera studentów PWST

Koncert

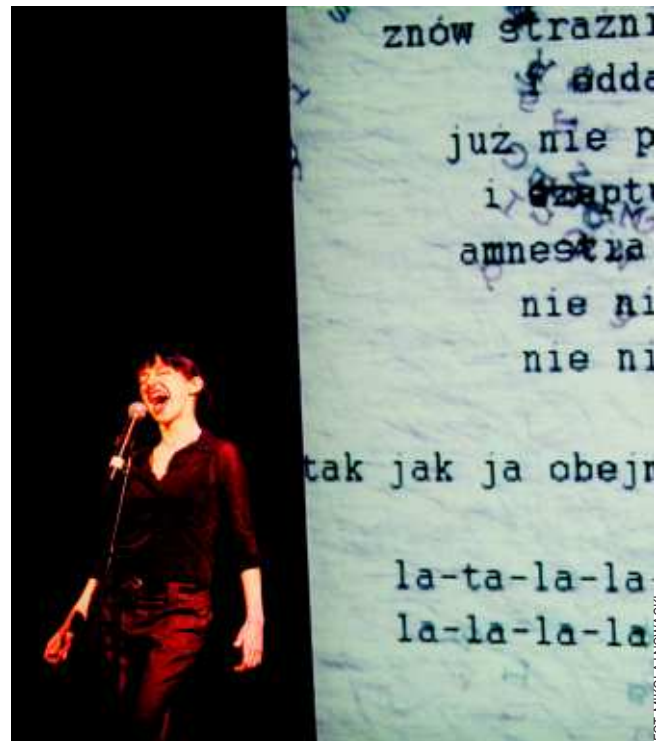
Na kawie u Ciechowskiego

Justyna Kościelna

Zderzenie z łosiem, przygoda z 90-letnią gejszą i japońską potrawą, której nie sposób zjeść, dystans do samego siebie i miłość, bez której ani rusz – takiego Ciechowskiego, nie jako charyzmatycznego przywódcę „Republiki”, ale zwykłego faceta nikt wcześniej nie pokazywał. I za to bez wątpienia należą się brawa twórcom „Halucynacji”, które premierowo we Wrocławiu grał w miniony weekend Teatr Piosenki.

Popamiętnym „Kombinacie”, Wojciech Kościelniak po raz kolejny wziął się za bary z twórczością Grzegorza Ciechowskiego. Pierwszego przedstawienia frontmen Republiki nie doczekał – zmarł kilka miesięcy wcześniej, zdążył jednak zaakceptować scenariusz i sam przy organizacji całego przedsięwzięcia uczestniczył. „Halucynacje”, pewnie też by mu się spodobały.

Bez patosu, którego Ciechowski podobno nie znośił, ascetycznie, ale prawdziwie – tak udało się przedstawić twórczość i życie Obywatela GC. Bo pomysł na koncert – bez teatralnej oprawy, za to kameralny i zaaranżowany akustycznie, doskonale się sprawdził. Siłą kon-



„Przyznaję się do winy” wyśpiewała z pasją Kasia Groniec

certu jest prowadzący Jan Wołek, przyjaciel Ciechowskiego, który przy filizance kawy, między jednym utworem, a drugim, snuł opowieści o ich wieloletniej znajomości.

Nie zawiedli również artyści – piosenki Ciechowskiego, często

w bardzo zaskakujących aranżacjach śpiewali Mariusz Kiljan, Mariusz Lubomski, Jacek Bończyk, Kasia Groniec, Iwona Loranc, Magda Kumorek i Mirosław Czyżykiewicz, świetnie dopełniając historie opowiedane przez Wołkę.